№ 32.

Warszawa dnia 30 Lipca / 11 Sierpnia r. 1866.

TYGODNIK MÓD i NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1.
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

BUSZMENI.

Z powodu okazywanych obecnie Azteków i dziwnie bajecznéj ich historji, podanéj w broszurce opisującéj podróż, czy wyprawę przedsiewziętą w celu ich znalezienia, szukaliśmy potwierdzenia jéj w poważnych, na wiarę zasługujących dziełach, ale w żadnem nie spotkaliśmy nic takiego, coby potwierdzało prawdę dopełnionego opisu. Natomiast w podróżach angielskich słynnego kapitana Mayne Reid, wyczytaliśmy zajmujący opis prawdziwego ludu *Pigmejczyków;* w krótkości podajemy go poniżéj.

W lasach południowéj Afryki żyje mały, żółty ludek dzikich, których Anglicy zwą Buszmenami a Holendrzy Boszimanami (*Bushmen-Boschesmans);* w obu językach nazwa ta oznacza ludzi leśnych. Żaden może naród nie obudził tak żywéj ciekawości Europejczyków jak Buszmanie, bo szczegóły, jakie pierwsi podróżnicy o nich podawali, zdawały się tak dziwaczne i nieprawdopodobne, że z początku uważano je za zmyślone lub co najmniéj bardzo przesadzone. Wkrótce jednak potwierdzili je ludzie których nauka i powaga dawała najzupełniejszą rękojmię prawdy, i wtedy przekonano się, że najbujniejsza wyobraźnia nie potrafiłaby wytworzyć nic dziwniejszego nad rzeczywistą prawdę.

Jak się nazywa kraj Buszmenów?

Proste i naturalne zapytanie, ale odpowiedzieć na nie, nie podobna. Jak dzikie zwierzęta w pośród których żywot swój wiodą, tak Buszmeni nie mają ojczyzny; w całéj Afryce nie ma kraju, któryby nosił ich miano, i równie nie podobna oznaczyć przestrzeń zajmowanego przez nich terrytorjum, jak zakreślić dokładnie granice wędrówek włóczących się cyganów.

Jakkolwiek Buszmeni nie stanowią ludu, i w właściwem słowa tego znaczeniu nie mają swego kraju, jednak przebiegana i zajmowana przez nich przestrzeń jest bardzo rozległa. Napotykano ich aż pod dwudziestym stopniem szerokości południowéj, od wschodu na zachód, od Kafrerji aż do wybrzeży Atlantyku. Długo mniemano, że rzeka Pomarańczowa stanowi granice ich tułaczki, ale niedawno napotkano ich na terrytorjum Damaras i na równinach Kalahari, o sto mil ku północy po za powyższą rzeką. Wielu podróżników utrzymuje nawet, że jeszcze bez porównania daléj posuwają się ku równikowi, ale może to być tylko wyjątkiem, bo zazwyczaj Buszmeni, wzorem strusiów, w samych tylko puszczach obierają sobie mieszkanie, a dzięki odkryciom śmiałego Liwingstona, wiemy dziś, że w miejscu, gdzie mappy robione przed 1856 rokiem zaznaczały wielką piaszczystą płaszczyznę, rozciąga się kraj urodzajny, poprzerzynany wodami i odznaczający się bogatą wegetacją, nie odpowiadałby więc upodobaniom Buszmenów. Jak powiedzieliśmy wyżéj, przebywają zazwyczaj w największych puszczach Afryki południowéj, na niegościnnych równinach zwanych *Karrous*, w skalistych wąwozach, wyschłych łożyskach, jałowych wzgórzach, w których kryją się źródła rzeki Pomarańczowéj, słowem w puszczach tak dzikich, że zdaje się, iż prócz Buszmenów żadna ludzka istota wyżyćby tam nie mogła.

Utrzymują w ogóle, że Buszmeni pochodzą od wielkiéj rodziny Hottentotów; dotąd jednak nie ma zupełnéj pod tym względem pewności, i równie wiele za, jak i przeciw temu twierdzeniu powiedziećby można. Oba te ludy mają prawie jednakową cerę, wełniaste włosy, a rysy tak jednych jak drugich szczególniéj formą i wyrazem oczu przypominają typ chiński, ale Hottentoci są daleko wyżsi, a ich usposobienia wzajemne są tak odmienne, że trudno wierzyć, aby z jednéj pochodzili rassy.

Trudno także powiedzieć stanowczo, czy rodzaj życia wpływał na charakter, lub przeciwnie wywołał sprzeczność dostrzeganą w zwyczajach obu plemion; to jednak pewna że samo podobieństwo języków nie może być dowodem wspólności pochodzania, ale tyl-

ko wskazuje że oba te ludy długo przebywały obok siebie. Więcéj szczegółowy opis naszych dzikich człowieczków, najlepiéj wykaże, w czem się różnią od Hottentotów.

Zwyczajny wzrost Buszmenów jest dwa i ćwierć łokcia, nigdy więcéj jak półtrzecia a bardzo często dorastają tylko do dwóch łokci wysokości. Kobiety są jeszcze daleko niższe, najczęściéj wzrost ich nie przechodzi dwóch łokci, widziemy więc, że dzikie to plemię miałoby najzupełniejsze prawo do nazwy *Pigmejczyków*.

Wprawdzie niektórzy, a między nimi Liwingston, zaprzeczali temu, dowodząc że powyższą miarę brano w Europie, gdzie przywieziono Buszmenów wyjątkowo małych i brzydkich; na to odpowiemy, że miara ta zgadza się najzupełniéj z miarą braną w Afryce przez Sparrmann'a, Buschell'a, Barrow'a, Lichtenstein'a, Harris'a, Kampbell'a, Patterson'a, i wielu innych równie znakomitych i wiarogodnych mężów, nie podobna więc przypuścić, aby podobni ludzie mogli się wszyscy mylić, lub żarty sobie robić z czytelników.

W ogóle Buszmeni są dość kształtnie zbudowani, a nawet do szesnastego roku życia są dość silni, ale po tych latach zaczynają coraz więcéj słabnąć i chylić się ku starości. Wówczas członki ich chudną raptownie, łytki giną bez śladu, policzki tracą okrągłość, słowem z każdym niemal dniem mizernieją i marnieją. Skóra ich ciała staje się szorstka i ostra, marszczki ryją się na twarzy coraz głębszemi bruzdy; kości wystają coraz mocniéj; kolana, łokcie i kostki u nóg wyglądają, jakby grube wystające węzły, powiązane na kijach nie mających najmniejszego podobieństwa do rąk albo do nóg.

Cera Buszmenów jest brunatno żółta, trudno jednak ściśle oznaczyć jéj odcień, ponieważ całą swą skórę uważają za ręcznik, o który ocierają wszystko czem tylko powalają ręce. Stąd na ciele ich powstaje gruba skorupa całkiem je pokrywająca, co dało powód mniemaniu, że wzorem innych dzikich smarują się tłustością. Ale nie można bynajmniéj posądzać ich o tak rozmyślną elegancję. Strój ten ich skóry jest zupełnie przypadkowy, a składa się z wszelkich pozostałości tłustych, smolnych, mięsnych i lepkich, jakiemi tylko kiedykolwiek powalali ręce, co przysechając warstwa po warstwie, tworzy coraz grubszą skorupę, jakiéj nie pozbywają się nigdy, ponieważ nie mają nawet pojęcia o umywaniu. W najgorszym już razie, jeśli zbyt polepią sobie ręce gummą, smołą lub żywicą, wtedy do oczyszczenia ich używają nie wody i mydła, ale ziemi, piasku i różnych nieczystości zwierzęcych.

Ale widać że chęć upiększenia się jest tak właściwą naturze ludzkiéj, że nawet nasz dziki człowieczek miewa czasami jéj napady. Gdy już zdaje mu się, że za nadto poczerniał skutkiem grubéj pokrywającéj go warstwy, wtedy smaruje się od stóp do głów okrowatą czerwoną ziemią, nie wyłączając nawet rzadkich wełniastych włosów.

Łatwo pojąć że pod tak różnorodną powłoką, ani podobna dojrzeć rzeczywistego koloru ich ciała; aby tego dokazać trzeba ich myć i skrobać nie jednokrotnie. Ciekawość nakazywała poddać ich téj mozolnéj operacji, po odbyciu któréj przekonano się, że cera ich podobna jest zupełnie do cery Chińczyków lub Europejczyków dotkniętych mocną żółtaczką.

Powiedzieliśmy wyżéj, że rysy Buszmenów równie jak Hottentotów, są bardzo podobne do rysów Chińczyków, a oczy przypominają czysty typ mongolski; jednak zamiast długich, równych włosów cechujących żółte ludy, mają oni na głowie włosy rzadkie wełniaste i kręte, które znowu układem swym różnią się całkiem od plemion Afryki i Australji. Ostatnie mają czupryny nadzwyczaj gęste, przeciwnie zaś u Buszmenów równie jak u Hottentów włosy są bardzo rzadkie, małemi kępkami rozrzucone po czaszce, z pośród których goła przegląda skóra.

Maleńkie te kępki są z natury swéj zupełnie czarne, ale działanie słońca w połączeniu z okrowatą ziemią, którą je pomadują, nadały im barwę brunatno-czerwoną.

Buszmanie nie mają zarostu, gdyby mieli brody, pozbyliby się ich co prędzéj jako niepotrzebnego przydatku. Nosy ich są płaskie, nozdrza spłaszczone, oczy podobne dziurkom od guzików, policzki wystające, czoło pochyłe w tył; usta ich nie są tak grube jak u murzynów, zęby bardzo białe i ładne, tem się odznaczające, że zamiast z wiekiem wysuwać się z dziąseł i wypadać, zużywają się jak u owiec lub innych przeżuwaków.

Pomimo tak maleńkiego wzrostu, Buszmanie są mocni, zwinni, wytrwali, umiejący znosić najcięższe trudy i niewygody.

Dotąd opisaliśmy mężczyzn, których portret nie bardzo jest zajmujący, ale kobiety, niestety! daleko jeszcze brzydsze, a brzydota ich codzień niemal staje się straszniejszą. Można jednak niekiedy napotkać młode dziewczęta, nie zupełnie ogołocone z wdzięków. W ogóle piękność ich zasadza się na jakimś dziwnym wyrazie skośnych oczu, białych zębach i małych dobrze narysowanych ustach; nadto w pewnéj epoce swéj tak krótkiéj młodości, kształty ich są dobrze zaokrąglane, a nawet czasami tak zręczne, że niejedna mogłaby za wzór służyć snycerzowi. Ale najgłówniejszym ich wdziękiem są zgrabne bardzo, nadzwyczaj maleńkie nóżki, których mogą im zazdrościć nie tylko damy europejskie, ale nawet najpierwsze piękności chińskie. Rzadko bardzo kiedy noga Buszmenki ma więcéj jak sześć cali długości, a nawet jak przekonywają miary brane jak najskrupulatniéj, nóżki niektórych młodych kobiet, dochodzą czterech cali zaledwie.

Pod względem umysłowym, Buszmanie nie są znów tak upośledzeni, jakby można mniemać, wnosząc z rodzaju ich życia; samo bystre spojrzenie ich małych czarnych oczek, przekonywa o żywości umysłu. Broń ich odznacza się pierwotną prostotą, jednak używają jéj z wielką zręcznością, a nawet niektóre plemiona odznaczają się dziwną biegłością i pomysłowością w wyrabianiu swéj broni i narzędzi, w ogóle jednak nie uganiają się za twórczością pomysłu, tylko za użytecznością.

Bystry, czujny, przytomny, zawsze gotów do czynu, Buszman już tem samem bardzo się różni od niedbałego i leniwego Hottentota, odznaczającego się głównie ospalstwem i ociężałą gnuśnością. Przemysł z jakiem urządza swe polowania, podstęp i przebiegłość, jaką rozwija w porywaniu bydła pasterskich plemion, dowodzi wielkiéj rzutności i przytomności

umysłu, i pomimo tak małych rozmiarów ciała, stawia go pod tym względem wyżéj nad innych Afrykanów. Czyliż wszystko to nie dowodzi jasno, jak bardzo Buszmanie różnią się od Hottentotów, mniemanych swych pokrewnych?

Daléj nie można zapewnie przyznawać Buszmanom bohaterskiéj odwagi, ale niesłusznie także posądzanoby ich o tchórzowstwo, bo mimo małego wzrostu, w bójkach walczą zacięcie i do ostatniéj chwili, dopókąd tylko sił im stanie, nie przestają naciągać swój łuk i wyrzucać zatrute strzały.

Wiedzą dobrze, że nie mogą spodziewać się łaski, umierając przeto pragną choćby ranić, jeśli nie zabić swego zabójcę, a dzika zawziętość wyrodziła się w nich zapewnie skutkiem nieludzkiego postępowania Bersów, których okrucieństwa od wieków stają się ofiarą.

Pod względem ubioru wcale nie są wybredni, jak zwykle plemiona wszystkich dzikich ludów. Mężczyźni noszą mały fartuszek ze skóry szakala, a kobiety pęk rzemieni przywiązany w pasie i spadający do kolan. Jest to ubiór codzienny, do większego stroju używają pewnego rodzaju płaszcza ze skór zwierzęcych, zwanego *Kaross*, który zarzucają na ramiona. Płaszcz kobiet tem się tylko różni, że ma na plecach rodzaj kapiszona czyli worka, w którym dźwigają swe nagie zupełnie dzieci.

Na nogach noszą rodzaj sandałów wyrobionych ze skóry i przymocowanych rzemykami do dużego palca i przy kostce; na głowie rodzaj kaszkiecika czyli przepaski skórzanéj otaczającéj głowę, przystrojonéj *Kaurysami*. Jest to rodzaj muszli zwanych *cyprea moneta* ponieważ w Bengalu i niektórych prowincjach Afryki, używają ich za zdawkową monetą. Muszli tych poławiających się aż na morzu indyjskiem, a więc bardzo daleko od zamieszkiwanych przez nich okolic, nie wiadomo jakim sposobem dostają, zdaje się że zamieniają je za skóry zwierzęce, to tylko pewna że ich bardzo drogo kosztują i że do nich wielką przywiązują cenę. Jeśli ktoś jeszcze posiada kilka guzików miedzianych, przytwierdzonych do rozsianych po głowie kosmyków włosów, uważany jest za najwykwintniejszego eleganta. Kobiety w podobny sposób przystrajają sobie głowę kawałkami skorupek z jaj strusich, a ręce i nogi przepasują obrączkami ze skóry. Całą twarz pokrywa maska z czerwonéj okry, a do ukończenia toalety, najwięksi dandysowie używają jeszcze proszku z liści rośliny zwanéj przez nich *buku*. Natarłszy ciało tym proszkiem wydają woń tęgiego pieprzu, co zapewnie nie da się zaliczyć do zbyt wyszukanych perfum, wielu jednak podróżników zapewnia, że jest stokroć milszą niż przyrodzony zapach transpirujący z ich ciała.

(d. c. n.)

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

W ostatniéj korrespondencji, mówiąc o odczytach publicznych, popełniłem błąd niedarowany, pominięciem wiadomości o pannie Deraisne, która w sali muzycznéj przy ulicy *Cadet* miała prelekcją o powieści obyczajowéj, a raczéj o romansie, tym jawnym apostole, jak się wyraziła profesorka, moralności lub zepsucia. Zgromadzenie było liczne, zadowolenie ogólne, bo dar słowa i żywość wyobraźni, pociągają każdego, tymbardziéj gdy je głoszą usta niewiasty, z rozumnym, myślącym i pociągającym wyrazem twarzy.

W wykładzie szanownéj profesorki wszędzie jaśniała mozolna praca i obszerne studja nad obranym przedmiotem; nigdy nie rzuciła zdania bez poparcia dowodem historycznym lub zacytowania źródła, zkąd wzięła wiadomość. Rzecz całą przedstawioną z niezmierną systematycznością, przeprowadza od czasów jak najstarożytniejszych, śledzi literaturę hebrajską, Indjan i Chińczyków, przechodzi potem do buduaru pań rzymskich zabawianych podczas gotowalni, przez korne niewolnice opowiadaniem różnych zdarzeń po zadomowych, zmyślonych ploteczek, lub wykoncypowanych historyjek w pewnym naprzód obmyślanym celu. Potem przed oczami widzów, profesorka przeprowadza poetyczne postacie minstreli, trubadurów, otoczonych rzeszą ciekawych rycerzy, giermków, dworzan i pań z feudalnych czasów, nudzących się w ponurych zamkach, bezczynnych, tęskniących do poetyzowanego świata, w którym na jedno skinienie piękności, rycerze stawali się cyklopami, przesadzali jednym skokiem niezgłębione przepaście i jak ptaki wdzierali się na strome szklanne góry. Zastanawia się daléj nad legendami, podaniami, tak zwanemi wreszcie bajkami jako czystemi utworami imaginacji; mówi o przypowieściach nauki Chrystusa w małych obrazkach tak olbrzymie zawierających prawdy i z tego wszystkiego wyprowadza wniosek, że dramatyzowanie życia ludzkiego w opowiadaniu, musiało towarzyszyć pierwszym zawiązkom społecznym, że utrzymywane pamięcią i rozszerzane fantazją płynących pokoleń przybrało pomału formę cudowności i nieprawdopodobieństwa, ową uroczą poetyczną szatę, pociągającą blaskiem nigdy nie gasnącym w których piękność myśli walczy o lepszą z pięknością i prostotą słowa.

Utworzona z tego powieść pisana, w początku barwiąc się źródłem z którego powstała, w miarę rozszerzania się światła w ludzkości przybierała formę coraz rzeczywistsze malującą życie, aż wreszcie zmieniła się w powieść dzisiejszą, obrazującą przeszłość i teraźniejszość, i dającą przez to naukę opartą na prawdzie, na doświadczeniu. Przedmiot więc swój rozbiera szanowna Profesorka ze stanowiska czystéj moralności, spokojnie, rozważnie, ale gdy w swéj wędrówce potrąca o pierwsze utwory uznane za arcydzieła, oko jéj błyszczy ogniem zapału, tem świętem uczuciem serca szukającem prawdy, mogącéj jedynie podnieść ludzkość na przynależne jéj stanowisko.

Cerwantesowi w Donkiszocie zarzuca, iż swojem dziełem chciał udowodnić, że tylko człowiek szalony i warjat może poświęcać się dla idei szlachetnéj i dla dobra bliźnich. Znamienity utwór Gil Blase oskarża, że autor z większem życiem odmalował upadek bohatera swego jak jego wyzdrowienie moralne. O Janie Jakóbie Rousseau powiada, że pisarz ten udawał siebie za pełnego namiętności, gdy tymczasem posiadał tylko fałszywy apetyt; że wpływ wreszcie jego na umysły i serca był szkaradnym, rozstrajającym jak trucizna niszcząca cały organizm. Chateaubriand'a nazywa epikeryjczykiem, i przechodząc koleją innych pisarzy, określa nareszcie warunki dobréj powieści,

która malując życie człowieka, powinna dobre podnosić, obrazować walkę ze złem, wykazywać przeciwności, bóle, kolce i rany, i pociechę duszy, zadowolenie sumienia z dopełnionego obowiązku stawiać jako jedyną nagrodę, którą każdy zdobyć może. Dla każdego pisarza treść to niewyczerpana, a dla talentu szerokie pole popisu. Namiętności ludzkie zaciemniające rozum, wrodzone samolubstwo wiecznie ścierające się z poczuciem obowiązku w najtwardszym człowieku połyskującem jak migotliwe błyski piorunu, zbytnie roztkliwianie, obłęd myśli, spaczenie wyobrażeń, to przepaść niezgłębiona bez granic i końca, dopóki tylkó człowiek będzie człowiekiem, dopóki duch ludzki zmuszony będzie staczać boje z cielesną swoją osłoną. Na tem tle obrazowane życie w powieści, przemieni się w taran walący potęgą prawdy w ciemnice otaczające ludzkość, ślepym wzrok przywróci, głuchym słuch, a małym myślą oczy zwróci ku niebu. Na taką drogę zaczyna już powieść wchodzić; w czarnéj nocy otaczającéj ziemię, szczelinami pobłyskuje światło, które przy rozszerzaniu się nauki gęstemi snopami rozpromieni się w koło, i ciemnice rozproszy w dalekie przestrzenie.

Takim odczytem obdarzyła panna Deraisne kółko swoich słuchaczów, i urądowała zarazem, że jako kobieta potrafiła w tak trudną i mozolną rzucić się pracę.

KALINA.

Młoda kalina — ramie ugina,
Unosząc ptaszę powiewem,
Białe jéj kwiaty — śpiewak skrzydlaty,
Podziwia natchnionym śpiewem.
Jakby niewinna, cicha dziewica,
Gdy marzyciela wdziękiem zachwyca,
Przewidzieć troski nie umie.
Pieśni poety z podziwem słucha,
Czaraml życia rozbudza ducha,
I marzy w słodkiéj zadumie.
A gdy wieczorna gwiazda zaświeci,
Lekka ptaszyna daléj uleci,
Tęsknota sercem owładuie,
Listek po listku z białéj korony
Spada powiewem wichru niesiony
Aż wśród grobowców upadnie.

Józefa Rzep.

Pogadanka Tygodniowa.

Jakich czasem potwornych niedorzeczności dopuszcza się wygórowane samolubstwo, mieliśmy tego świeży przykład w publicznem wystąpieniu p. X. w Kurjerze Codziennym. Kwestji téj nie podnosiłbym wcale, ale skłania mnie do tego względ wyższy, stanowiący łączność z ogółem. Czyny bowiem drobne i mało napozór znaczące są często najlepszą miarą wartości człowieka, bo jako drobne występują z całą jasnością, nie przypuszczając, żeby z nich mógł ktoś wyprowadzać jakieś niekorzystne wnioski. W nich więc człowiek pokazuje się, jakim jest i co wart rzeczywiście, maskę zaś przybiera tylko w ważniejszych chwilach, gdy czuje, że oczy wielu są na niego zwrócone. Wiadomo wszystkim, że w każdéj społeczności, są pewne przepisy, obowiązujące jednostki względem ogółu; że nieuszanowanie ich ściąga albo potępienie prawa, albo opinji publicznéj, czyli, że człowiek jako żyjący w towarzystwie, dla dogodności ogólnéj, musi robić ofiarę z cząstki swoich zachciewek i wstrzymywać się od tego wszystkiego, co ogółowi szkodę lub tylko przykrość przynosi. I tak nie wolno jest w kościele, w teatrze, lub na zgromadzdniach muzycznych prowadzić głośnéj rozmowy, bo ta przeszkadza jednym modlić się drugim bawić. I przeciwnie, w zgromadzeniach przeznaczonych dla saméj rozmowy i pilnie nią zajętych, nie wolno jest wyspiewywać pieśni nabożnych, lub choćby najcudowniejszych arji światowych, bo to znowu przeszkadza rozmowie. W podobnych więc wypadkach, mimo najszczerszéj zachciewki, każdy cząstkę z osobistéj wolności składa na ofiarę ogółu, i pragnący modlić się idzie do kościoła, szukający zabawy do teatru lub na muzykę a chcący rozmowy z przyjaciołmi, zamyka się w odosobnieniu i stara się usuwać wszystko, co tylko jéj przeszkadza. Na takim porządku zyskuje ogół; przełamujących go karci policja, a opinja potępia. Są to prawdy tak jasne i oklepane, że żadnego zdaje się dowodzenia nie potrzebują, a jednak, któż uwierzy? że znajdują się jacyś panowie Iksy, i to w pośród nas w drugiéj połowie XIX wieku, w wieku postępu i cywilizacji, którzy prawd tych tak jasnych prostych i zwyczajnych, nie znają, nie czują i nie pojmują.

Wiadomo, że głównem jak dziś przeznaczeniem Doliny Szwajcarskiéj, jest służenie za miejsce muzycznéj zabawy dla miłośników poważniejszéj muzyki i orkiestry pana Bilzego. Muzyka zatem jest tam

główną rzeczą, bufet dodatkową i kto tam przychodzi i płaci za wejścia, to robi to nie dla bufetu i nie dla gawędy, ale głównie dla muzyki, bo bufet znajdzie w setkach innych miejsc, a orkiestrę p. Bilsego tylko w Szwajcarskiéj Dolinie. Mogą się wprawdzie zdarzać wyjątki i przyciągnie ktoś do Doliny jedynie dla szklanki ponczu, kotleta lub gawędy, a nie dla muzyki, ale takiemu w takim razie, ani jedzeniem ani paplarstwem, *nie wolno* jest przeszkadzać słuchającym, ale obowiązany jest wynieść się gdzie w odległy punkt ogrodu i tam sobie jeść pić i gadać do syta. Tymczasem p. X. rzecz tę zupełnie inaczéj pojmuje, i draśnięty przymówką Kurjera, na niedelikatność głośno rozmawiających w czasie muzyki, wystąpił z odpowiedzią, ale jaką?

W odpowiedzi téj docina najprzód Kurjerowi, że stał się *organem moralizowania, uzacniania i uprzywoicania zepsutéj społeczności.* Czyż p. X sam sobą nie dowodzi, że podobna praca w pismach perjodycznych jest bardzo potrzebną? Daléj mówi:

„W Piątek jakiś wielbiciel, nie wiem milczenia, czy Mozarta, zaleca publiczności kontemplacyjne zachowanie się w obec muzyki p. Bilsego. Ależ mości melomanie, jeśli ci moja rozmowa pokój zakłóca, przenieś się w inny zakątek ogrodu, a mnie pozwól robić to, co w ogrodzie gdzie sprzedają poncz, limonadę, i wodę sodową robić wolno. Przychodzę do Doliny, aby odpocząć, porozmawiać z przyjaciołmi, odetchnąć świeżem powietrzem, a że tam gra muzyka któréj przyznam się nie lubię, mówię właśnie cokolwiek głośniéj, aby mi nie drażniła nerwów“.

Pocóż więc mości Iksie przychodzisz do Doliny? Tak ci się podoba, odpowiesz? Zgoda, ale na jedzenie i gawędę jest oddzielne miejsce, przy samym pałacyku, przy muzyce zaś *wolno tylko słuchać* a nie rozprawiać głośno. Gdyby wola twoja miała tyle mocy, ile w niéj jest pychy i samowoli, toby nie tylko publiczność ale orkiestra musiała gdzie w kącik uciekać aby nie drażnić szlachetnych twych nerwów styranych zapewne ciężką pracą przy kieliszku, półmisku i frykasach. A czyby to było sprawiedliwie?

Na szczęście ogół inaczéj rzecz tę pojmuje, i nie zachowujących się w miejscach publicznych według prawideł przez wszystkich przyjętych, wyprasza zwykle za drzwi, przezywając gburami nieokrzesanemi.

Upowszechniona ogólnie opinja, nie wiem dla czego, mieści zwykle szewców na ostatnim szczeblu społecznéj drabiny, po któréj pnąc się ludzie, im wyższy zajmują na niéj pręcik tym więcéj zalecają się cechami prawdziwéj cywilizacji, którą przedewszystkiem grzeczność, delikatność i uprzejmość dla ogółu znamionuje.

Jakie w społeczności p. X. zajmuje miejsce to mi zupełnie jest niewiadomem, wiem tylko, że podobnie jemu, żadenby szewc nie postąpił, a nawet mógłby służyć za wzór do naśladowania, jak o tem przekonałem się po razy kilka mając za sąsiedztwo najbliższe w Dolinie, całe rodziny majstrów szewckich.

Taki pan X. nie żyje zapewne jak pustelnik, kiedy lubi gawędę głośną z przyjaciołmi i ma słabe nerwy, żywot więc swój przepędza w towarzystwie podobnem mu usposobieniem. Towarzysze ci znowu mają podobne kółka znajomych i tak daléj i tak daléj, bo zwykle zawsze szuka swój swego, z czego naturalnie tworzy się dość liczna warstwa samolubów.

Zmienia ją i poprawia jedynie tylko kształcenie się naukowe ogółu, bo ten potężniejąc sercem i głową, wyosabnia ją z pośród siebie, ośmiesza, potępia i coraz słabiéj zasila nowemi przybyszami.

Z radością wielką, nieopisaną, wyczytałem wiadomość w Gazetach, że za przykładem Ameryki, założono w Londynie w początku bieżącego roku szkołę lekarską dla kobiet, do któréj zapisało się 20 kandydatek. W Algierze rząd poszedł za tym samym przykładem, bo tam mężczyzni lekarze nie mają wstępu do rodzin arabskich, i tym sposobem kobiety i dzieci pozbawione są wszelkiéj pomocy medycznéj. Pierwsza która się zapisała do otworzonéj w Algierze szkoły, jest panna Rengguer de la Lime, odznaczająca się zarówno zdolnością, jak i rozległemi wiadomościami.

Jest to wielki postęp, który przełamawszy w Ameryce pierwsze lody, coraz szerszem korytem rozpływać się będzie po społeczności ludzkiéj. Podwójnie jednak cieszyłbym się, gdyby do nas doszedł choć malutkim strumyczkiem. Krzykom bowiem, że to zniszczy związki rodzinne, że kobieta przestanie być aniołem domowéj strzechy, nie wierzcie, są to tylko deklamacje tchórzów mezkich lękających się współzawodnictwa. Nauka nic nie niszczy ani psuje, ale przeciwnie buduje, utwierdzia i podnosi. Jeździ gdzie ujemnie wpłynęła, to nie była nauką prawdziwą, ale zabawką naukową, blichtrem albo szarlatanerją. Takiéj strzeżcie się, ale naukę dla saméj nauki, chwytajcie zawsze i wszędzie, garnijcie się do niéj sercem i całą duszą.

O UBIORACH

Jeżeliby Czytelniczki chciały się dowiedzieć, jak się ubierano w podziemiach piekielnych w czasach gdy tamże wstąpił Orfeusz, to ciekawość tę możemy dzisiaj zaspokoić.

Oglądaliśmy bowiem w magazynie pani Adeli Hoffmanowéj pełen oryginalnego wdzięku strój, zwany *toilette Orphé*. Składał się najpierw z kapelusika z czarnych koronek, fasonu *galette*, to jest z okrągłego denka na wierzchu głowy, przystrojonego gałązkami korali i pąsowych porzyczek, podtrzymanego szarfami z czarnéj wstążki w rzut z pąsowego grochu. Suknia do tego z czarnego *poil de chèvre*, miała pierwszę spódnicę (halkę) wycinaną u dołu w duże okrągłe zęby, objęte aplikacją z pąsowego kaszmiru, nad któremi szedł na ćwierć łokcia szeroki rzut okrągły z pąsowéj aplikacji. Druga wierzchnia spódnica, obejmowana podobnież, podpinana była w festony podtrzymywane czarnemi klapkami, otoczonemi pąsowym kaszmirem, a na każdéj z nich mieścił się duży pąsowy kaszmirowy guzik. Kaftanik czyli paletocik wcięty do stanu z baskiną rozchodzącą się z tyłu i z przodu w dwa długie i wązkie śpiczaste kliny, objęty był również pąsową pliską. Epolety i dół rękawów miały podobnyż wystrój. Pasek czarny zdobił takiż kaszmir pąsowy. Buciki zaś pąsowe z czarnym dopełniały reszty ubioru.

Prócz tego widzieliśmy jeszcze w tym magazynie kilka mniéj oryginalnych, lecz równie ładnych sukien.

Suknia z szafirowego kaszmiru, zdobna u dołu grubym sznurem ze słomką, miała wcięty paletocik, ubrany taśmą słomianą, kropkowaną szafirowo w krzyżowane drabinki. Gabrjela biała pikowa, była wycinana u dołu w dziergane białe duże zęby i ozdobiona pasmanterją białą bawełnianą.

Gabrjelę z szaréj alpagi zdobiła czarna aksamitka z białym brzeżkiem naszywana u dołu, na rękawach i staniku z baskiną przypinaną do wyjścia na ulicę.

Suknia biała fularowa w różno kolorowy rzucik, miała paletocik wygarnirowany białą jedwabną frendzelką podobnież nakrapianą.

Suknia fioletowa *poult de soie* przybrana była na każdym brycie spódnicy u dołu kokardą, wyszytą z grubego jedwabnego sznura z końcami zakończonemi kwastami. Oba staniki do niéj, wycinany i pod szyję podobnież były ozdobione. Z takim samem przystrojeniem była suknia czarna jedwabna.

Poult de soie koloru *Lapis* miała stanik pod szyję z guzikami szmuklerskiemi pokrytemi jedwabną siatką tegoż koloru, oszyty u góry i u rękawów koronką *Cluny*. Stanik otwarty miał szmizetkę z *Cluny* przewleczoną czarną aksamitką i bertę *à la vieille* garnirowaną także *Cluny*, rękawki w krótkie bufki.

Widzieliśmy także u pani Adeli dwa śliczne nowego rodzaju czepeczki zwane *chaperon*. Tworzyły je małe czarne tiulowe denka, pokryte naszyciem białéj jedwabnéj koronki lekko przymarszczonéj. Jeden z nich przybrany był cały w pukielki z wązkiéj szafirowéj aksamitki; miał szafirowe końce, oszyte białą koroneczką wiązane z tyłu. Drugi miał z przodu nad czołem i z tyłu pęk kłosów i liści pąsowych aksamitnych, przepiętych w pośrodku aksamitką czarną, któréj długie końce spadały na plecy. Śliczne było także ubranie głowy włoskie *(coiffure à l' italienne)* składające się z wiązanki kwiatów, koronki i aksamitki z długiemi spadającemi końcami. Ubranie to przypina się po nad czołem. W rodzaju czepeczków *chaperon* były także śliczne negliżyki z cienkiego muślinu z wstaweczkami kluni, ozdobione kolorową aksamitką lub wstążką.

W magazynie czyli szwalni sukien i okryć kobiecych, panien Siarczyńskich przy ulicy Krakowskie-Przedmieście nad apteką Hakebejla, oglądaliśmy różne drobne gotowe przedmioty ubioru, jak np. kanzuciki czarne jedwabne, naszywane lawą i koronką po rs. 10, bluzki białe alpagowe po rs. 7 naszywane kluni podłożona czarną aksamitką lub też kolorowem *poult de soie* i koronką. Kaftaniki *Figaro* lub *Senorita* aksamitne czarne ozdobione lawowemi paciorkami po rs. 10, oraz kolorowe jedwabne krótkie staniki, zwane *corsage ceinture*, do włożenia na białą suknię z bluzką również po rs. 10. Stanik taki jest to rodzaj szerokiego paska z ramiączkami i epoletami, naszywanego koronką i aksamitką. Po nad wycięciem idzie do koła przyczepiona tylko do ramiączek aksamitka czarna wiązana z przodu na kokardkę, a oszyta do koła z dwóch brzegów czarną wązką koroneczką.

Widzieliśmy także suknie w których robocie panie Siarczyńskie umieją połączyć wdzięk dobrego smaku z taniością przyborów. Podobała nam suknia popielata bareżowa z błękitnym sznurem u dołu i podobnegoż koloru wyszyciem paletocika, na którym do koła równie jak u dołu i góry rękawów był szlak kratkowany szeroki na ćwierć łokcia w niektórych miejscach, a w innych dużo węższy, ze wstążeczki mantynowéj na cal szerokiéj.

Suknia czarna gładka bareżowa ze stanikiem w kształcie bluzki, miała rękawy w miejsce epoletek, przyozdobione kokardami z czarnéj wstążeczki na dwa cale szerokiéj i takąż wstążeczką, w połączeniu z białą koronką wygarnirowany u góry stanik. Rękawy te zupełnie były wązkie u ręki, w ramieniu zaś szerokie i przymarszczone.

Suknia ślubna z białéj alpagi zupełnie gładka, ze stanikiem wyciętym z przodu czworograniasto *(carré)* i ozdobionym również jak rękawy koroneczką valen-

cienne, i niby puszkiem z białego fałdowanego drobno przez środek *poult de soie*, którego oba brzegi były strzępione.

O POWOZACH.

Kiedy we wzgórzystéj części kraju, nieprzebyte prawie gąszcze leśne, niezmiernie ruch ludności, utrudzały, kiedy w niższéj zsuwającéj się ku głębiom Bałtyku, dla jezior, bagien, i moczarów, bez łodzi w lecie, a przewodnika w zimie niepodobna było prawie poruszyć się, wtenczas zarówno mężczyzni jak kobiety, podróże odbywały konno, bo na kołach więcéj trzęsenia i stukotu, jak wygody i przyjemności. Dla tego najdawniejsi kronikarze nic nie mówią o pojazdach, wszystkie u nich najdostojniejsze osoby nawet chore jeżdżą zawsze konno.

Tak się działo aż do połowy XIV wieku, i dopiero za Kazimierza W. panującego od roku 1333 — 1370, po kronikach znajdują się wzmianki o pojazdach, których zbytkownicy używali nad miarę. Zapewne wcisnęły się one z zagranicy, przez siostrę królewską Elżbietę naówczas żonę Karola Roberta z linji kapetów króla Węgierskiego, panią nader rozumną i z zagranicznemi dworami w ciągłych zostającą stosunkach.

Odtąd powozy pomału zaczynają się upowszechniać głównie ich jednak używają kobiety i dostojnicy kościoła, szlachta ciągle jeździ konno i najdalsze podróże odbywa wierzchem na rumakach własnego chowu lub zdobytych na wyprawach wojennych. Zwyczaj ten w prędce jednak ulega zmianie, do wozowni pańskich przybywa powóz za powozem, i już nie tylko kobiety i kapłani, ale i dygnitarze koronni zaczynają używać wygodnéj jazdy na kołach. Według rękopismu z archiwum Sieradzkiego w połowie wieku XVII, szlachta w odwiedziny lub za sprawunkiem, rzadko wybierała się wierzchem i zwykle jeździła saniami albo koczem, konno zaś po większéj części sami tylko służebni ludzie. Z początku, jak objaśnia rękopism udawano się w podróż bez żadnych rupieci, późniéj brano pierzyny, a nawet łóżka, a przed pojazdem jechał chłopiec na koniu, torując drogę przez wyboje i gęstwiny leśne.

Powozów było dwa rodzaje, *kolebki* czyli pojazdy odkryte na pasach i *rysorach*, i *rydwany* czyli pojazdy przykryte. Oprócz tego były *kotcze* czyli kocze *brożki* czyli mniejsze kocze i karety dzisiejszym podobne. Do lżejszych powozów zaprzęgano czwórki, późniéj poszóstne cugi, a każdy sadził się na przepych w ich przystrojeniu. Jak dziś na sankach tak wówczas na pojazdach rozwiązano altembasowe wezgłowia, szkarłatne opony, różne wzorzyste kobierce, żeby na obie strony spadały, pozłociste zaś lewki albo gałki błyszczały wszędzie, że pojazd, jak powiadają kroniki pstro i suto wyglądał jak kram Ormiański.

W dzisiejszym czasie powozy weszły w powszechne użycie, jeżdżą niemi wszyscy, bryczki, kamieniarki, najtyczanki, do więcéj domowéj przeznaczone obsługi a owe sławne bryki Brodzkie prawie zupełnie zaginęły. Warszawskie fabryki powozów, obok mocy i gruntowności, zalecają się gustem i wygodą, nie ustępując w niczem zagranicznym podobnym wyrobom, a często je nawet przewyższając.

Do najtańszych powozów jakie oglądaliśmy w tutejszych zakładach, należy *kocz faeton* kryty bez fordekla, z siedzeniem na cztery osoby i z jedną walizą, kosztujący rs. 550. Drzwiczki u niego mogą być wyjęte, co mu nadaje pewną lekkość i ułatwia niezmiernie wsiadanie. Służy głównie dla miasta, bo jako mało zakryty, nie wielką przed deszczem stanowi zasłonę. Po téj samèj cenie znajdują się koczobryki z drzwiczkami stale urządzonemi lecz cokolwiek krótsze od faetonów. Około rs. 650 kosztuje kocz faeton nieco większych rozmiarów i droższym lecz ładniejszym wybity materjałem. Powozy poczwórne z dwoma walizami znajdują się w téj samèj cenie po rs. 650.

Kocze-karety zupełnie kryte, z szybami na boku, z siedzeniem na cztery osoby, z dwoma walizami i waszą na wierzchu, dające się rozebrać i wtenczas tworzące zwyczajny powóz, są w rozmaitéj cenie od rs. 780 do 1000. Zależy to od mniéj lub więcéj kosztownego obicia, wielkości i przyrządów służących do rozbierania.

Najmodniejsze powozy wyrabiane tak zwanym francuzkim fasonem, są długie, mają boki naklejane kratką skórzaną, naśladującą trzcinę pleciona w krzesełkach i kapy platerowane w kołach. Powóz taki z fordeklem i dwoma walizami, kosztuje rs. 800, bez platerowanych zaś kap rs. 750. Kareta nierozbierana płaci się rs. 870.

Do przejażdżki w któréj powodują końmi same osoby jadące służą dwa rodzaje powozów. Oryginalne amerykanki na dwie osoby, z latarniami wewnątrz platerowanemi i z siedzeniem z tyłu dla służącego po rs. 450 i wolanty koszykowe lakierowane biało, z siedzeniem także na dwie osoby i z tyłu dla służącego po rs. 400. Wypłatanie to pomimo prostoty wyrobu przez p. Rentla sprowadzane jest z Paryża, bo u nas zupełnie nie znajduje się.

U wszystkich powozów są resory stalowe ślusarską robotą i te za najlepsze uważać należy. Osie bywają patentowe do oliwy, albo półpatentowe do massy. Drugie, to jest półpatentowe, jedynie tylko właściwe są na wieś, bo nie potrzebują szczegółowego obznajomienia co do obchodzenia się z niemi i w razie zepsucia, daleko łatwiéj mogą być naprawione, patentowe zaś popsute, muszą być dla naprawy aż do Warszawy przywożone.

Opakowanie powozu w drogę, każdego bez żadnéj różnicy kosztuje rs. 15.

Opis sukien i Paletotów

N. 1. Suknia popielata zlenosu *chineé* na takiéjże spódniczce. Klapki dopodpięcia takież same obłożone pliską szafirową. Guziki szafirowe. Paletocik niewiele wcięty, objęty pliską szafirową jedwabną, z tyłu rozcięcie do pasa. Kapturek zwyłożeniem za kończony dwoma sznurami i kwaścikiem. Kapelusik okrągły popielaty zpiórkiem szafirowem.

N. 2. Suknia szara *fil de chèvre*. Udołu na każdym zszyciu brytów piramidy z czarnéj gipiurowéj wstawki przesznurowane wąziuchno aksamitką albo sznurem jedwabnym. Paletot udołu wzęby, obszyty wstawką gipiurową. Płaski kapturek podszyty marseliną wfałdki ubrany gipiurą i naszyciem zjedwabnego sutaszu, kwasty koloru sukni. Kapelusik ryżowy przybrany aksamitką. Podspodem siatka *Bénoiton*.

N. 3. Suknia biała muszlinowa, takiż paletocik ogarnirowany wodą muszlinową i koronką. Rękawy płaskie, odramienia bufki.

N. 4. Suknia lilla *fil de chèvre*. Paletocik obszyty aksamitką i koronką czarną, takież epolety i mankiety. Kapelusik *Lamballe* ztiulu jedwabnego ubrany gronkami zczarnego wina zliściami.

N. 5. Suknia lenosowa popielata, ubrana wodą i ruszą. Paletocik biały kaszmirowy, naszyty pasmanterją czarną.

N. 6. Suknia wełniana *chineé*. Paletocik obszyty frendzlą z białéj angory, perłowemi guzikami. Kapelusik okrągły, kasztorowy, opasany sznurem.

N. 7. Suknia fularowa, kaftanik odmiennego koloru naszyty wstawkami *Cluny*. Pod spód bluzka muślinowa zdługiemi rękawami.

N. 8. Sukienka dla dziewczynki jasna popielata wełniana, takiż sam paletocik wzęby obszyty czarną koroneczką, a nadnią wstążką. Kapelusik słomkowy zpiórkiem

N. 9. Suknia dla dziewczyuki fularowa zszelkami odmiennego koloru.

N. 10. Sukienka wpaski. Paletocik flanelkowy z kapturkiem przybrany kwaścikami. Kapelusik słomkowy opasany wstążką czarną jedwabną.

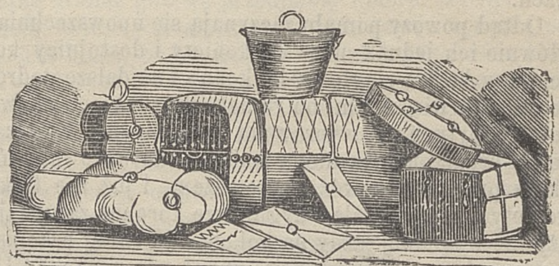
ROZMAITOŚCI.

KWIATY I OWOCE.

(Dalszy ciąg).

Rezeda prowadzona w drzewko. Podajemy tu wyborny przepis, jak zamienić rezedę w roślinę trwałą czyli w drzewko. Trzeba wybrać młodą i silną odnogę rezedy i posadzić ją w doniczkę, pełną ziemi inspektowéj pomięszanéj z ogrodową. Roślina ta wszedłszy z nasienia w gruncie, tworzy zwykle pęczek złożony z pięciu lub siedmiu łodyg, zakończonych u góry kwiatem. Kiedy Rezeda przesadzona w doniczkę dobrze się już przyjęła, co można poznać po rozwijaniu się młodych listków, trzeba wtedy oberwać wszystkie łodygi; zostawiając tylko jednę środkową i tę przywiązać mocno wełną do kołeczka. Niech ta łodyga zakwitnie, lecz niechaj nie wyda nasienia. Kiedy kwiat rozwinie się dostatecznie, trzeba go przyciąć w miejscu gdzie się kończy. Z każdego listka poniżéj kwiatu, wypuści młody odrostek; gdy te odrostki wyrosną na cal, należy je obciąć wraz z listkami, zostawiając tylko trzy odrostki najbliższe ucięcia. Roślina utrzymywana ciepło i podlewana dwa razy na dzień, ukaże wkrótce pączki na trzech zostawionych odrostkach. Nie trzeba dopuścić ich kwitnięcia lecz obciąć pączki zostawiając łodygi z listkami. Z temi trzema łodygami wypada się tak samo obejść jak z główną: każda z nich wyda dwa odrostki które trzeba zostawić na kwiat, resztę zaś obcinać starannie. Po miesiącu lub dwóch, główna łodyga środkowa, wraz z sześcioma bocznemi, które utworzą koronę, stanie się twardą łykowatą, a Rezeda zamieni się w drzewko, a jeśli będziemy starannie obcinać kwiat za nim przejdzie w nasienie, będzie kwitnąć cały rok bez przerwy. W Belgji i w Holandji prowadzą w ten sposób Rezedę, która żyje niekiedy do dwunastu lub piętnastu lat. Aby koronę drzewka uczynić kształtną i rozdzielić odnogi w równéj odległości, można według zwyczaju belgijskiego, przywiązać je do wiciny zatkniętéj w łuk w doniczkę. Podczas lata, należy wynosić Rezedę na balkon, zaraz po odcięciu okwitłych gałązek; gdy ma zakwitnąć mieści ją się w Żardinierce.

(d. c. n.)



Pani Helenie Ja. Do kopert jako wyprawianych przez Ekspedycją Gazet w Warszawie, nie można żadnych wkładać sprawunków. Kop. 25 zostaje w Redakcji.

Prenumeratorka z Siedlec, rodowita widać Francuzka, która w liście po francuzku pisanym prosi o przysłanie nie doszłych numerów Tygobnika Mód, raczy przysłać nam dokładny i wyraźny adres, bo inaczéj przesyłki nie będziemy mogli uskutecznić.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz z formami sukien i paletotów.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.



rys. A. Roman w Paryżu.

Dodatek do Nr. 32 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 30 Lipca (11 Sierpnia) 1866 r.

NAJPIĘKNIEJSZA.

(Dokończenie).

Ksiądz wikary miał nieco jawialne usposobienie, więc przydał się bardzo. Zbigniew był wesół, ale raz po raz w marzenie wpadał. Zofja jakieś niezwykłe miała zajęcie i krzątała się szczególniéj przy herbacie, lubo że jéj pan Zbigniew w tem zatrudnieniu pomagał.

— Więc, panie Zbigniewie jużjutro jedziesz do rodziców? — zapytał gospodarz domu, gdy gość żegnał się następnie.

— Tak, panie.... ale myślę być na Nowy Rok z powrotem.

— Będziesz miał pewnie różne domowe czynności. Lecz rodzice nie puszczą cię pewnie.

— Mam ważne czynności—odpowiedział młodzian, po licu jego jakiś dziwny przemknął wyraz, niby uśmiech, a wzrokiem Zofii pokłon oddał.

Nitkosia uważała tego wieczora, że panna Zofja całą modliła się godzinę, zanim na spoczynek poszła.

Nazajutrz powróciła pani Dobrosławska z córeczkami i synem.

Jakieź-to tam były uściski siostrzyczek! Jakie serdeczne, radosne powitanie z Maxiem, który o cal jeden przynajmniéj od wakacji się podniósł. Z kieszeni wyglądały mu notatki jakieś, zapewne nowe, poetyczne utwory,

Po tych rodzinnych powitaniach, i pokrzepieniu podwieczorkiem podróżnych, — ujęła Zofja mateczkę, a raczéj *porwała* ją do swojego pokoju.

— O, mateczko najdroższa, ukochana! — wymówiła, mając pełne łez oczy, i tuliła się do poczciwego, matczynego łona — jakżem szczęśliwa, mateczko!.... Pan Zbigniew..... oświadczył się..... O, mateczko moja, czyliżem ja kiedy o czemś podobnem nawet i zamarzyć mogła?!..... Nigdy! nigdy!

Zamarzyła wszelako niekiedy, mimowiednie niemal, gdy jakiś wyraz lub spojrzenie Zbigniewa upoważniało ją do tego, lecz i zaraz oddalała sny te złociste, urocze, jako płonne rojenia ułudy!.... Ona wiedziała, że nie jest urodziwą, że jéj matka przyroda piękności nie dała, któréj wymagają w kobiecie i która, niestety, częstokroć jest w niéj *wszystkiem:* wartością najpierwszą i jedyną!

Zbigniewów jest niewiolu, ale są wszelako!! Pani Dobrosławska uściskała córkę, westchnęła z głębi duszy dziękczynnie, i popłakała trochę.

— Dwie tylko myśli niepokoją mnie, mateczko najdroższa—wymówiła Zofja, głaszcząc się ręką mateczki po licu.

— To i cóż takiego, dziecko?

— Matka pana Zbigniewa i ojciec jego pragną, by ożenił się z Emmą..... To i cóż powiedzą na tę wolę syna?

— Jużciż pan Zbigniew wiedzieć musiał, co czyni—pocieszyła ją matka.

— I ja to powiedziałam już sobie: boć on jest taki szlachetny i syn tak dobry! — Drugą zaś myślą, mateczko, a raczéj troską, jest: czyli go też Emma nie kocha?!..... Zmartwiłabym się szczerze...... i przyćmiłoby to szczęście moje. Państwo Krzeszowscy życzyli sobie pana Zbigniewa, to więc i dla nich będzie zawodem!.... Szczególniéj niepokoi mnie Emma.

— Czyliż taka kobieta kocha, która w chwili, gdy przypuszcza, że wybrany jéj serca do tegoż serca przemówi, zajmuje się wyłącznie nowym wykrojem rękawka? uśmiechnęła się pani Dobrosławska.

— Prawda, mateczko!.... Ale Emma jest pieszczotką szczęścia..... Ona mogła pokochać, ale będąc pewną siebie, nie czuła niepokoju, więc z tem wszystkiem zajmowała się i strojem, który lubi i który jéj piękność podwyższa.

— To wszelako zawsze *siebie* przede wszystkiem kocha!..... A może też i *godzina jéj* nie wybiła jeszcze!.... Nie troszcz się o to dzieweczko!

W przed dzień wigilii Bożego Narodzenia przybyła pani Balimowska, siostra pani Dobrosławskiéj, z dwoma synkami, na których ładne czekały sakiewki, ręką, Zofii zrobione. Cała rodzina powitała ich z niezmyśloną radością. Zofja długo w noc przy łóżku cioteczki siedziała, bo dużo sobie miały do opowiedzenia.

Zrana w samą wigilią, przybył pan Gromski, emeryt. A opowiadał, że na Święta dużo mają gości w Żegnowie. Potrącił znowu o niespełnioną dotąd *deklaracją* pana Zbigniewa, na co pan Dobrosławski nic nie odrzekł, ale tak *jakoś* uśmiechnął się *niby*, że zapłoniona Zofja domyśliła się od razu, że *mateczka* przed *ojcuszkiem sekretu* nie ma.

W pierwsze święto pojechali z Hubina wszyscy do Żegnowa, nasamprzód na nabożeństwo do parafialnego kościoła, a potem na objad do dworu.

Emma była prześliczną w nowym, a modnym stroju. Zofja aż niby czuła się upokorzoną, jak gdyby jéj co na sumieniu ciężyło. To też pobiegła za przyjaciołką do jéj pokoju, i obejmując ją wpół, powierzyła jéj swoją najważniejszą tajemnicę.

Emma zrozumiała.

— O, to ci winszuję!—zawołała, niezmięszana bynajmniéj—dobrą robisz partją, winszuję ci!—i w zapłonione pocałowała ją lica. — Pan Zbigniew bardzo

sobie rozsądnie postąpił, a tobie miło będzie w sąsiedztwie rodziców pozostać.

— Jestem szczęśliwą! odszepnęła Zofja.

— Powiem ci także—mówiła daléj Emma, i niby cudniéj jeszcze zakwitła—że wielkie gotują się imieniny u prezesostwa; a na tych imieninach pragnie mi być przedstawionym hrabia Tytus Drogomirski, który mnie gdzieś tam w Warszawie widział..... to jest w teatrze, a potem w Saskim ogrodzie..... I ja go widziałam: jest bardzo przystojny i pełen dystynkcji...... to kuzyn księżny Ignacowéj..... Wy także na tych imieninach będziecie, ty być musisz!.. Włożę tę nową sukienkę od Gersona, w różowy rzucik. Ślicznie wygląda z kokardami z różowych wstążek i z koronkami czarnemi. Na głowie będę miała róże i perły. Cieszę się, że pójdziesz za pana Zbigniewa — i zapłonęła znowu.

Stanęła przed dużą *Psyché,* obróciła się na wszystkie strony, poprawiła rozłożone na obszernéj krynolinie liczne fałdy materji błękitnéj; zarzuciła siatkę ze złotych łańcuszków i pereł na ciemno-płowe warkocze i skropiła cieniutką chusteczkę najwytworniejszem pachnidłem.

— Chodźmy teraz do salonu—wymówiła, rzuciwszy jedno jeszcze przeciągłe spojrzenie w zwierciadło, ujęła Zofję pod rękę, i do towarzystwa wróciły.

„Nie troszcz się o to dzieweczko!"—wyrzekła pani Dobrosławska, i miała słuszność.

A Zofja wychodząc z pokoju Emmy, pocieszała się w głębi duszy tem przekonaniem: „*Nie kocha go!*".... Ale możeby oświadczenie jego była przyjęła.

Emma wesoła, mówiąca, szczególniéj dnia tego błyszczała urodą. Bolało to niby trochę Zofję, bo przeczuwała, że to był niezwykły jéj nastrój: „Miałażby żałować Zbigniewa?"

— Niechaj to niepokoju nie czyni tobie wcale — odpowiedziała jéj pani Balimowska, gdy cioteczce pod ścisłą tajemnicą stosowne udzieliła uwagi — Emmy *miłość własna* tylko jest draśniętą, że *pierwszy kawaler* w powiecie u stóp twoich swoje złożył serce! — i pocałowała siostrzankę w czoło, która miała uśmiech na ustach, a łezkę w oku.

ZBIGNIEW DO ADAMA.

„Otóż i jestem najszczęśliwszym z ludzi, mój kocha Adamie! Jestem narzeczonym — i kochanym przez istotę po nad wszystko ukochaną! Moją narzeczoną jest *najpiękniejsza dziewica!.... Najpiękniejsza*, bo kobieta z sercem!— Pragnąłem takiéj, szukałem jéj i znalazłem! — Znalazłem ją taką, *jaką* Bóg chce mieć kobietę.

Tą narzeczoną serca i duszy jest panna Zofja Dobrosławska.

Rodzice moi pragnęli, bym się starał o pannę Emmę Krzeszowską. Matka moja tylko o niéj marzyła, a ojciec tego wyraźnie żądał. Nęciły go: majątek, wystawność domu, świetność pewna a nawet i piękność panny.

— Matkę pierwszą uprzedziłem i zdziwiła się niezmiernie, ale...... potrafiłem ją przekonać inaczéj, i po godzinnéj rozmowie już zupełnie mojem przejęła się uczuciem. „Musi to być brylant, skoro obok téj pięknéj Emmy potrafiła serce pozyskać twoje!"—powtarzała —„To jest miłość prawdziwa, z nieba zesłana!"— i o niczem już nie mówiła, tylko o Zofii.

Z ojcem było trudniéj: rzucił się, zżymał..... i dnia drugiego dopiero jego pozyskałem zezwolenie. Przebyłem przykrą walkę, ale ją stoczyłem dla mojéj jedynie a namiętnie ukochanéj.

Dziś i ojciec jest szczęśliwym z mojego wyboru.

Na Nowy Rok powróciłem do Suleńca, by dzień ten, jako dobrą wróżbę, w Hubinie spędzić.

W parę dni potem zjechali rodzice. Poczciwa moja, nadroższa matka oświadczyła mnie rodzicom o rękę córki drżąca z wzruszenia. A kochany ojciec sam pierścień, piękny antyk, włożył na palec mojéj z nieba zesłanki.—Jest tylko za duży, bo nader małą ma rączkę.

Kończę na tych niewielu wyrazach, bo teraz i głowa i serce bardzo są zajęte.

Przyjeżdżaj, Adamie, i poznaj narzeczonę moją!

„*Twój Zbigniew.*

Paulina z L. Wilkońska.

ROK 1810.

Z ŻYCIA BYRONA, BARDA ALBIONU.

W jednym z portów włoskich morza Śródziemnego, w roku 1810, zdala cokolwiek od przystani znajdowała się willa, w stylu maurytańskim wybudowana, otoczona parkiem drzew pomarańczowych, figowych i olbrzymich aloesów.

Było to mieszkanie majora Ponsomby miejscowego konsula, przeznaczonego tu za zasługi wojenne na półwyspie Pirenejskim. Z altany mieszczącéj się w parku, stanowiącéj przez całe lato salon i jadalnią konsula, otwierał się przepyszny widok na morze, rojące się mnóstwem bander na masztach zatkniętych, na wyspy sąsiednie, jakby osłonięte błękitną gazową zasłoną, i na przestrzeń bezbrzeżną w tumanach mgły tonącą. Więcéj jednak od konsula, lubiła tam przesiadywać córka jego siedemnastoletnia mistress Teresa, przypatrując się z zachwyceniem szczególniéj, kiedy piękne Włoch słońce zanurzało się w morzu, spokojnem i przejrzystem, jak jéj dusza. Z ojca Angielka z matki Hiszpanka, łączyła w sobie wszystko, co tylko w nich było najdelikatniéjszem i najwytworniejszem. Twarz o niezmiernie regularnych rysach, odbijała w sobie typ bretoński w całéj czystości i świeżości. Nos z lekkiem zagięciem orlem wybornie harmonizował z oczami pełnemi życia, pobłyskującemi często ogniem zachwytu, albo łzą rozczulenia. Włosy jasne, jedwabiste, przy blasku słońca przybierały barwę złotą, co przy cudownéj piękności młodéj Teresy przypominało aureolę

otaczającą oblicze madonny. Ramiona zatoczone zgrabnie, kibić wysmukła i udatna, wzrost nieco wyższy od średniego, dawały poznać Kastyljankę w rodzinnéj jéj znakomitości. W chwilach, gdy się oddawała zadumie, spokojne jéj lica przybierały wyraz jakby zachwycenia, tak mistrzowsko przedstawionego w aniołach Pawła Delaroche, wpatrujących się w oblicze Ś-téj Cecylji. Lecz gdy uczucia téj pełnéj ognia duszy, poruszyły się na wiadomość o jakim pięknym czynie szlachetności, i czoło jéj rozjaśniło się promieniem niebiańskiéj radości, lica rumieńcem zapału, a z ócz trysnęły jakby iskry ukrytego płomienia, to wtenczas Teresa była Hiszpanką, w całym blasku szlachetnéj przyrody. Ujmująca za pierwszem wejrzeniem, pierwszym uśmiechem przyciągała każde serce do siebie. Otwarta i szczera, często oczami i myślą goniła chmurki błąkające się po niebios obszarach, albo migające gwiazdy utkwione w czarnym płaszczu nocy. Wówczas zadumana, zdawała się nadsłuchiwać hymnu aniołów, chórem niosących cześć Panu nieba i ziemi. Ojciec, człowiek wysoko wykształcony, od dziecka poświęcał cały czas wolny nauce Teresy, która niby kwiatek południowéj strefy, rozwijała się we wszystkie skarby umysłu, ale i w zbytnią czułość zarazem. Często też jakby znużona otaczającem ją życiem, młoda dziewica szukała samotności, porzucała nigdy ją prawie nie odstępującą książkę i błądząc po przybrzeżu morskiem, słała myśli z biegiem fal rozkołysanych. Ojca to wielce niepokoiło, a gdy ganił i wypytywał, dziewica szyję okalała mu rączkami i przytulając głowę do piersi ojcowskiéj, zanosiła się płaczem, mówiąc:

— Tak mi najmiléj, mój drogi ojcze, kiedy czuję bicie twego zacnego serca, albo przeglądam fale morskie mknące w przestrzeń bez granić i końca. Wówczas z pod stóp moich znika ziemia, duch mój olbrzymieje i zda mi się, że płynę tam..... wysoko..... wysoko..... prosto do Boga.

— O! dziecię moje, a dla czegóż tę drogę niebieską rosisz łzami boleści.....?

— To z radości mój ojcze..... z uczucia tęsknéj błogości, jakiegoś dziwnego niepojętego stanu duszy, który jak wicher burzliwy, to wznosi, to strąca, dotykając wszystkich strun mego serca.......

— Znam to uczucie — odrzekł major z westchnieniem — w starszym wieku nazywa się to wspomnieniem przeszłości, w twojem moje dziecko marzeniem o przyszłości, i wydzieraniem się duszy do świata, do ludzi.......

— Do świata?—czyż ciebie nie mam drogi ojcze? I w czemże mi ludzie mogą ciebie zastąpić?

— Moje dziecko, w samotni naszéj, prócz przejeżdżających ziomków z urzędu przyjmowanych, nikt więcéj nie bywa. Żyjesz tu jak kwiat w pustyni, o którym zaledwie wie słońce i rosa. Dla mnie przez żywość umysłu i skarby serca, stałaś się wszystkiem, rodziną, ojczyzną, całym światem. Alem ja ojcem twoim, owiany czarem miłości rodzicielskiéj......

— A ja twoją córką, twoją jedyną Teresą — odrzekła dziewica obsypując ojca pieszczotami—ale narzekania twoje na samotnią naszą niesłuszne, bo oto widzę wpływający do przystani trzymasztowiec pod flagą angielską, będziemy więc mieli gości.

Gdy to mówiła, wspinając się na palce, aby lepiéj przystań oczami ogarnąć, na drożynie pokazał się stary sługa majora, dawny towarzysz broni, poważny Jakób, który zatrzymawszy się przy samym wejściu do altany, rzekł wolnym grubym głosem:

— Signor z Lewantu Jerzy Ferres, pragnie się przedstawić Ekscelencji.

— Jakież ma listy rekomendacyjne?

— Żadnych, mówi wprawdzie po angielsku, jak rodowity Anglik, ale to Turek, bo ma turban na głowie, czerwone buty, i szaty fałdziste, tkane w Tybecie albo Kaszmirze.

— Ach! jeszczem Turka ucywilizowanego nie widziała — zawołała Teresa uderzając ręka w rękę — proś go mój ojcze, proś.....

— Może to jaki......

— Ależ Turek mówiący po angielsku jak rodowity Anglik, to nie może być żadną nic nieznaczącą figurą.

— Zdaje mi się, że to malarz—odezwał się Jakób, bo z niezmiernem zajęciem przygląda się portretom wiszącym w salonie.

Były to portrety króla Jerzego i córki majora w postaci naturalnéj, w baskinie hiszpańskiéj, siedzącéj na tarasie z oczami utkwionemi w morze. U stóp na kobiercu leżała gitara, a jedna rączka dziewicy trzymała gałązkę z kwiatem pomarańczowym.

— Proś więc Signora Ferres — odezwał się major i zasiadł pod cienistym cedrem przy stole zastawionym przyborami do kawy, smacznemi owocami i winem mrożonem z Lewantu. Obok koszyczka z robotą ręczną Teresy, leżały książki angielskie a między niemi poszyty Przeglądu Edymbugskiego.

Gość zapowiedziany był to młodzieniec zaledwie dwudziesto kilko letni. Bogaty strój wschodni przedstawiał Turka, szlachetność zaś wejrzenia, pastawa, ruch, duma i ugrzecznienie, rysujące się w całéj osobie, zwiastowały wyższéj klassy Europejczyka. Brwi ruchliwe, czoło szerokie miało znamię fatalne, niezatartą zmarszczkę gienjuszu albo nieszczęścia. Małe upadanie na nogę, dla świadomego odrazu dawało poznać, że owym młodzieńcem był Jerzy Gordon, lord Byron, który za pierwsze wystąpienie w poetycznych szrankach, zrąbany przez krytyków Edymburgskiego przeglądu, zemścił się straszną satyrą w proch ich ścierającą, a w krótce miał zostać na ich powstydzenie mistrzem snującym o piorunowéj mocy, urocze słowa poezji. Dochodząc do altany oczy jego jak dwa promienie z płonącego ogniska, skrzyżowały się ze spojrzeniem Teresy. Dziewica zapłonęła, z pewnem zakłopotaniem zwróciła oczy ku ziemi, Byron zmarszczył brwi, bo w téj chwili dostrzegł na stole poszyty nienawistnego mu Przeglądu. Szczególny miłośnik niespodzianek i nadzwyczajnych przygód, rzadko w podróżach swych występował pod własnem mianem, które pomimo młodego jego wieku już znane było w Anglji, jako imię niepospolitego poety i burzliwego młodego ekscentryka.

— Jestem Jerzy, przybywam z Lewantu—odezwał się Byron składając ukłon majorowi i jego nadobnéj córce—zatrzymując się dni tylko parę w przystani, nie mogłem pominąć sposobności odwiedzenia ziomka i powzięcia wiadomości z naszéj staréj zmarszczkami okrytéj Anglji. Dziwna to staruszka, żeby ją kochać, trzeba koniecznie oddzielić się od niéj oceanem i lądem Europy: z blizka czysta poczwara, jak ropucha okryta obrzydliwemi narostkami.

— Wybacz Signor Ferresie—odrzekł na to major, ale twoja mowa ze strojem tak są niezgodne, że wyjść nie mogę z podziwienia. Byłbyś więc Anglikiem?

— Anglikiem jak i ty majorze, dumnym ojczyzną, a dla ziomków przejęty goryczą. Żadne miłe wspomnienie nie wiąże mnie z niemi i gdybym mógł, to jak ów znany zwierzokrzew, przenicowałbym Anglją, aby wszystko, co żyje na niéj zniszczało, a rozkwitło na nowo piękne, przygłuszone dziś wstrętnemi chwastami. Zwiedziłem już Portugalją, Hiszpanją, byłem w Albanji, poznałem zastygłą Turcją, przybitą koranem do ziemi, jak motyl spilką do zbiornika:—odwiedziłem bohaterską Grecję, w któréj wszystko przemawia ofiarą i poświęceniem, a obecnie mam zamiar troszkę pokręcić się po tutejszem morzu, i w powrocie spocząć przy sercu zacnéj méj matki, co dla życia i myśli, zawsze jest oazą pociechy i pokrzepienia. Błądząc ciągle po Wschodzie strój Turka przywdziałem, daje bowiem nieraz bezpieczeństwo, a często roztargnienie.

Teresa słuchała z wielkiem zajęciem całéj téj rozmowy, nie tracąc z niéj ani jednego słowa. Sposób wyrażania się, niby dzwięk głosu pociągały ją ku młodemu podróżnikowi, chociaż rozlana w rozmowie gorycz i niechęć do ludzi, niezmiernie dziwiły. Major zaprosiwszy Byrona do zajęcia miejsca, rozpowiedział mu wszystkie znane sobie szczegóły o Anglji a wyczerpawszy ich zapas dodał w końcu:

— Oto jest wszystko co do naszéj samotni przynoszą nam listy z kraju, gazety i podróżujący ziomkowie. Resztę wiadomości dopełniają te oto książki obznajmiające nas z ruchem literatury ojczystéj.

Byron z pewną wzgardą spojrzał na poszyty Przeglądu Edymburgksiego, a potem przenosząc oczy na Teresę rzekł:

— Obmówiłeś majorze mieszkanie swoje nazywając samotnią, bo gdzie natura w cudne rozwija się kwiaty, tam niknie pustynia, człowiek przestaje być samotnym. Ale porzuciwszy wschodnią fantazją, uderzyła mnie na samym wstępie do twojéj jak ją nazywasz samotni, szczególna delikatność pędzla, i talent artysty, który z taką prawdą umiał odtworzyć szlachetne rysy mistress Ponsomby. Ja także troszkę jestem artystą, oto album napełnione memi rysunkami, z którem nigdy się nie rozstaję — i rozkładając kartki mówił daléj: — to są pałace saraceńskie, świątynie egipskie, meczety Syrji, wodotryski Stambułu. To senorita hiszpańska osłonięta szeroką mantylą, to obóz beduinów spoczywających pod cieniem liści palmowych, to znowu w pochodzie w pustyni karawana złożona z ludzi i wielbłądów, którą złoci promień wschodzącego słońca. Tu nareszcie są szkice yachtu wojennego o trzech masztach konstrukcji angielskiéj, mającego za godło serce pałające na srebrnéj tarczy...

— To godło lorda Gordona Byrona — przerwał major — to pan zna tego młodego szaławiłę, którego szalone wybryki aż do nas doszły, w tak potwornéj wieści, że trudno nawet dać im wiarę?

— Znam — odrzekł cokolwiek zmieszany Byron — należy nawet do rzędu moich przyjaciół.

— Czytałam jego poezje — odezwała się Teresa— które wydał pod tytułem *Wolne godziny* — dziwiłam się niektórem pięknym a nawet wzniosłym ustępom, ale powiadają, że to szalony awanturnik.....

— Powiadają — dodał ojciec — że Anglją opuścił na zawsze i miał się nawet sturczyć.

— To potwarz — odrzekł krótko Byron.

— Mają go za dziwaka, opętańca.....

— Majorze! — zaręczam że to wszystko szkaradna bajka, lord Byron jest moim przyjacielem, znam go doskonale. Jest on zapalonym podróżnikiem, śmiałym marynarzem, troszkę może burzliwym, ale w sercu ma tyle miłości dla wszystkiego co szlachetne, że winniśmy mu pobłażanie a nie potępienie.

— Ależ panie Ferres — odezwała się Teresa — my przeciwnie słyszeliśmy. Wszyscy, co go bliżéj znają, powiadająże to korsarz wódz, Gerylasów, słowem zbój, Beduin. Pułkownik Garth przyjaciel mego ojca, nazwiska jego nie wymawia bez przeżegnania się. Wprawdzie są tacy, co pomimo krytyki Przeglądu Edymburskiego, nazywają go znakomitym poetą, z temi i ja dzielę zdanie, ale głos opinji publicznéj także ma swoje znaczenie.

— Głos opinji — odezwał się Byron ledwo powstrzymując uniesienie — to echo bezmyślne kilku trajkotek szatańskich osłoniętych szatą anielstwa:— to gęganie stada gęsi nadsłuchującego głosu swego przewodnika. Uwieńczonych poetów i krytyków z professji, podobnych do redaktorów Przeglądu, mam w większem obrzydzeniu od dowódzców band hiszpańskich i zbójeckich beduinów. W lordzie Gordonie szczególniéj cenię miłość niepodległości i miłość dobrego, które można w nim skrępować, nawet zabić, ale nie ugiąć, ani zmienić na marjonetki wykręcane według przyjętych wymagań.

— Widzę panie Ferresie, że lord Gordon ma wybornego w tobie obrońcę i przyjaciela — odezwała się Teresa.

— Mała tam, pani, zasługa, gdzie prawda sama przemawia.

Rozmowa przeciągnęła się późno w noc. Byron tak ją umiał podtrzymywać, tak barwić opisami odbytych podróży i krasić różnemi uwagami, że major zachwycony, zaprosił go na dzień drugi w odwiedziny, a Teresa dołożyła tak wymowne spojrzenie, że nie spełnić pragnienia ojca, byłoby więcéj niż okrucieństwem. Dziwili się tylko, że ów mniemany Ferres, żadnych o sobie nie udzielił im wiadomości, a nawet uważali że starannie unikał każdego zwrotu rozmowy do swéj osobistości.

Z obejścia jednak, z okazanéj nauki i obszernych wiadości, wreszcie z odbywania podróży tak długiéj i kosztownéj, wyprowadzili wniosek, że nieznany im gość, jest bez zaprzeczenia szlachetnie urodzonym gentlemanem, a więc godnym ich towarzystwa i gościnności. Więcéj nie badali, bo pobyt gościa miał być w porcie tylko trzechdniowy.

(d. n.)
